

47
Zdzisława Szyfman

z d. Bucharska

ul. Leszczynowa 44 m 37

Białystok

• • I/804

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Jestem córką polskiego oficera, który poszedł z wojskiem Polskim w dniu 15-go września /1939r/ z Księżyna koło Białego-stoku. Tatuś już nie wrócił do domu. Dostał się do niewoli /so-wieckiej/, a nas wywieziono 15-go września /powinno być kwiet-nis - błąd oczywisty, później sprostowany/ o pierwszej w nocy w nieznanym kierunku. Przyjechały ciężarowe samochody z wojs-kiem pod bronią. Kazano nam, przez najbliższe pół godziny przy-gotować się do wyjazdu. Co wolno było ze sobą wziąć? W zasadzie nic. Człowiek zerwany ze snu nie mógł się skoncentrować i z prz-przerażenia tracąc przytomność nie wiedział, co ma ze sobą za-brać. Była z nami nasza mamusia - Irena Bucharska, babunia - ma-musia naszej mamusi i nas dwoje: ja - Zdzisława i brat Wiktor, mój młodszy brat, który wówczas miał 11-cie lat.

Na dworcu towarowym w Białymstoku zwalono nas z samocho-dów i wsadzono do bydłowych wagonów na słomę. Na środku wago-nu w podłodze była dziura do spełniania swoich potrzeb fizjo-logicznych. Natomiast rodziny, władowane do tego wagonu z obu stron się gromadziły. Wyglądaliśmy gorzej niż tabor cygański, jako że wagon musiał być dopełniony. Nie było wolnej przestrze-ni do wstawania, chodzenia, poprawiania się. Prawdą jest, że nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą i ile będziemy jechać w takim po-ciągu. Taki pociąg i taki wagon widzieliśmy w życiu po raz pier-szy. Jeszcze w czasie postoju, rano, już chciało się nam pić. Da-li nam wody z lokomotywy, w wiadrze od smaru, z rąk czarnych, za-smarowynach. Ta woda nam oczywiście nie smakowała. Ale nie mie-

liśmy wyboru, bo każdy z nas musiał jakos to pragnienie ugasić. A o posiłkach to już mowy nie było.

Wyruszyliśmy z Białego-stoku już nie pamiętam dokładnie kiedy, ale to było w dzień, 14-go kwietnia. Wiem, że jechaliśmy przez Polesie, ponieważ zobaczyliśmy miasta i mokradka nad rzekami. Wiedzieliśmy, że to jest Polesie. Jechaliśmy w kierunku Brześcia.

Po drodze zawarliśmy bliższą znajomość z rodzinami, które załadowano do naszego wagonu. Okazało się, że to były rodziny polskich oficerów i lekarzy. Pamiętam, że wówczas jechały z nami

- rodzina doktora Kleina,

- rodzina policjanta Nowickiego, Jurgielewicza i inne. Dalejszych nazwisk już teraz nie pamiętam.

Po jakimś czasie przeładowano nas na szerokie tory kolei Związku Radzieckiego. Ale zanim to nastąpiło, rodziny dobrze sytuowanych, na wysokich stanowiskach, zabrały ze sobą pewne ilości złota. I ja sama byłam proszona o to, żeby to złoto powyrzucać przez wagony/Okno- błąd oczywisty/, jako że w czasie tego przeładunku może być komora celna, przez którą złota nie przepuszczają. Rodziny te nie chciały zapracowanego przez swoich mężów złota oddawać, bądź co bądź - wrogom. Więc wyrzucaliśmy złoto w te bagna poleskie. Ktokolwiek je znalazł, na pewno skorzystał. Ale kto znalazł?

Zabierali między innymi ludzi chorych, starych. Dowodem tego były moja babunia, Maria Białas, która była urodzona w roku 1863 w czasie powstania styczniowego, a wywieziona była w roku 1940. To wówczas miała 77 lat. My, dzieci, byliśmy nieletni: brat miał lat 11-cie a ja 14-cie i 11-mcy, czyli dzieci. Co myśmy mogli wiedzieć o postępowaniu swoich rodziców. Wiemy, że to byli lu-

dzie inteligentni, wykształceni, ludzie, którzy byli nie dość że Polakami, ale i patriotami. Jako dzieci nie widzieliśmy jakiejś wrogiej działalności przeciw Bogu czy przeciw ojczyźnie. A jednak zsyłka nastąpiła.

Jechaliśmy na Syberię do 25-go maja. Tego dnia zwalono nas w Pawłodarze, w Kazachskiej obłasti, Urlitupskim rejonie, za Pawłodarem miejscowość Irtyszewsk, nazywała się Zawodskotzandar, czyli była to po prostu ferma, w której stały krowy chore na płuca. Te krowy zostały stamtąd usunięte i w tymże chlewie, na barłogu, zwalono te nasze rodziny. Gdy zobaczyliśmy warunki, w jakich żeśmy się znaleźli, po prostu ludzie młodszy znosili to normalnie. My jako dzieci, widząc cokolwiek nie tragizowaliśmy. Natomiast nasze rodziny zachowywały się niesamowicie. Był jeden szloch, jedna modlitwa. Prawdą jest, że ja sama chodziłam wstępem zawracać żony lekarzy, sędziny, wydawałoby się osoby logicznie myślące, jednak w stanie depresji niewytrwale, nieprzygotowane do takiego życia. One chciały sobie odebrać życie. Tłumaczyłam, że nie sztuka życie sobie odebrać, ale sztuka żyć. A druga sprawa to ta, że jak można sobie życie odebrać, jak tu nie ma żadnego drzewka. Były tylko takie burzany piołunu, trawy, która rosła niedaleko Irtysza, otaczała Irtysz. Piołun był wysokości naszej trzciny i niesamowicie gorzki. Taka ucieczka była do nikąd. Bez skutku.

Po takiej rozwadze, perswazji osoby te wracały do tego chlewa, gdzie była reszta rodzin. I na tym się kończyło.

I od razu przystąpiliśmy do pracy, jako że tam prace polowe się odbywały. Kto do tej pracy poszedł? Dzieci, młodzież. Nówczas ta praca się rozpoczęła i trwa do dziś dnia, bez przerwy. Otóż pracowaliśmy przy pracach polowych. To co w tym sowchozie ro-

biono dla bydła: czy koszone trawę, czy zbierano, cokolwiek, zwożono, grabiono, tośmy tam to wszystko robili, bo trzeba było żyć.

Czym tam palono? Piołunem, który wysechł pokamany albo skoszony lub nawozem bydlęcym. Bydło pozostawiało po sobie nawozowe ślady. One wyschnięte stanowiły opał ludności, która obsługiwała ten zawodskotzandar.

Ale myśmy tam byli niedługo. Przewieziono nas na południe od Pawłodaru. Było to takie miejsce położone jakby centralnie, bo oddalone o 500 km od Pawłodaru, 500 km od Nowosybirsk i 500 km od Omska. Byliśmy między tymi trzema miastami. Była to Pawłodarska obłast, Urlitupskij rejon, Michajłowskijski sielsowiet, wieś Pietropawłowka, kołchoz Budionnyj. I myśmy tam zostali zwaleni po południu, przed wieczorem, z ciężarowych, wojskowych samochodów na pobrzeże wsi.

Ludzie się zbiegli, aby nas oglądać. Tłumaczono im wcześniej, że mamy rogi, ogony, żeby się do nas nie zbliżali. Taki powiew strachu zapenował między nimi a nami. Ale oni zaczęli się nam przyglądać, myśmy zaczęli się do nich uśmiechać i oni zaczęli się przekonywać, że nie ma śladów tych rogów, że nie mamy ogonów, że coś w tym jest: Polaki, Polaki, buzie takie same jak u nich. Tylko język nie ten. Kiedy noc nastąpiła, oni stali naprzeciw nas i nie wiedzieli, co mają począć. My, tu przywiezieni i pozostawieni sami sobie stanowiliśmy w ich sumieniach jakąś refleksję. Po prostu oni chcieli nam pomóc, ale bali się swoich władz. Po jakimś czasie rozpoczął się dialog mniej więcej takiej treści, że - chodźcie z nami. I tak każdy wybrał sobie jakąś rodzinę, którą zabrał do siebie.

Mieszkali oni w lepiankach albo w domach na powierzchni.

Domy te były budowane z gliny, a właściwie z gliny zmieszanej z kiziakiem /nawozem/. Mieszkali też w ziemiankach, do położenia

wy wkopanych w ziemię a w połowie wystające nad powierzchnię. Budowano je z "płastu", trawy siskanej w kostkę łopatami. Formowano to w postaci dużych kwadratów spełniających rolę cegieł. Te kwadraty z trawą, układane jeden na drugi stanowiły ściany domu. Gdy to wysychło, nie było do rozwalenia. Potem elewacyjne prace domów robiono również z gliny, ponieważ tam deszcze padały raz do roku lub dwa razy na sezon, więc to wszystko było suche, odpowiednio grube zabezpieczało przed mrozem, wiatrem i deszczem.

Na okienka przewidziano otwory zasłonięte albo błonami zwierzęcymi, szkło wysuszonymi i wyczyszczonymi czyściutko tak jak pergamin albo resztkami szkła gdzieś znalezionego tak, żeby deszcz i wiatr nie dostawały się do domu.

Znaleźliśmy się w takiej izbie. Ale co robić? Rodzina ta nazywała takich brewion, okrągłaków, poukładała to na dwóch kozłach w poprzek. Na to położyli słomę, którą mieli w domu, a na to położyliśmy resztki naszych ubrań, które trudno było nazwać ubraniami, tak się doszczętnie zniszczyły w czasie podróży. I tak w poprzek leżąc: babunia, mamusia, brat i ja spaliśmy na tych narach, po prostu na narach.

Z prawej strony naszych nar stał stół, wsparty na takich krzyżakach, zbity z desek. Vis a vis był ogromny rosyjski piec, na którym gospodyni gotowała strawę: rano to była kasza z prosa z mlekiem albo na sucho. Na obiad była kapusta na rzadko lub na gęsto albo z czymś albo bez niczego. I to stanowiło ich całodzienny posiłek.

Obok pieca a naprzeciw nar były drzwi, a z lewej strony stała owieczka i cielak. Obok znów były drzwi do następnej izby. Następna izba posiadała znów piec do ogrzewania pomieszczenia,

dwa okna i długą ławę, przez całe mieszkanie. Tam też stał kufer gospodyni. Tak wyglądało wyposażenie tego mieszkania, w którym się znaleźliśmy.

Pod stołem kuchennym mieszkały jeszcze kury, bo wolno je było trzymać w tym kołchozie rodzinie, jeżeli ona sama potrafiła sobie takie kury wychować, gdzieś zdobyć. Kury mieszkały pod piecem.

Na piecu spały dzieci i babcia stara, a w izbie następnej był obraz Matki Bożej, w kącie, w górnym rogu mieszkania. Ale na tamtym piecu albo na łóżku, które było wstawione spała gospodyni z gospodarzem, jeżeli rodzina była pełna. Nas było czworo, a razem siedmioro spało nas w kuchni oraz owieczka i cielak i kury. To wszystko znajdowało się w kuchni. A ten drugi niby pokój, druga izba, była bardziej reprezentacyjna na wszystkie ważniejsze chwile w życiu rodziny, jakie ta rodzina miała.

Oni niedziel nie obchodzili. To były przecież czasy stalinowskie, to niedziel nie było. Świętowali tylko Nowy Rok, 1-go maja i święto rewolucji. To były te święta, które tam obchodzono. Dodatkowe uroczystości to były wesela i pogrzeb. Chrzcin nie obchodzono, jako że nie było tradycji modlitwy.

Do tej wsi trafiło nas 28 osób. Byli to sami Polacy razem z dziećmi. Byli z nami:

- rodzina Zaczeniuków, składająca się wówczas z 6-ciu osób. Z tej rodziny został już tylko Jan Zaczeniuk w Księżynie. Pozostali już zmarli.
- pani Maria Matecka, która obecnie mieszka przy ulicy Piastowskiej 15 B mieszkania 40 w Białymstoku,
- rodzina Nowickich - rodzina policyjna; nie wiem, gdzie się obecnie znajduje,

- rodzina Poznańskich, też nie wiem o ich obecnych losach,
- Rodzina Litwinowiczów, też nie wiem, gdzie są; chyba za granicą,
- pani Janina Kokocińska, zmarła w Tel Awiwie.

I to chyba wszyscy. Każda rodzina mieszkała u kogo innego. Wszyscy odwiedzaliśmy się systematycznie. Natomiast u nas w domu spotykaliśmy się wszyscy każdej niedzieli i we wszystkie święta. Modlitwa była zakazana. Niemniej jednak rodziny tamte szybko uczyły się śpiewów i modlitw polskich. Ja, korzystając z tego, że miałam w Łomży krewnego, który był księdzem, księdza Bogackiego, który obecnie już nie żyje. On w 1949-tym roku został - mówiąc ogólnie - przeniesiony z Wilna z Uniwersytetu Stefana Batorego, w którym uczył - miał dwa doktoraty: z filozofii i teologii i tu, w Łomży był na dożywocie. I on, w porozumieniu z biskupem Jałbrzykowskim przysłali mi listownie taką misję kanoniczną do pełnienia misji i modlitw za zezwoleniem, z okazji wszystkich świąt i niedziel polskich. Z tą jednak różnicą, że nie miałam kapłaństwa to nie było przeistoczenia tylko przeistoczenia pragnienia i komunii święta pragnienia: ja pragnę przyjąć Pana Jezusa i w tej chwili z całym sercem go przyjmuję, chociaż go nie ma.

Ponieważ miałam książeczkę do nabożeństwa, książeczkę recytowaną polsko - łacińską, bo wszystkich spraw teologicznych nauczył mnie tatuś i mamusia też. Bo w naszym domu modlitwa była i wszystkie tradycje podtrzymywane były - nasz dom był z tradycjami z dziada pradziada. Rodzina Ducharskich była bardzo pobożna.

Z tego powodu ja tę misję kanoniczną sprawowałam przez

wszystkie lata pobytu na Syberii. W czym się ona przejawiała? W niesieniu pomocy ludziom tam zamieszkałym. Ochrzciałam dwie dziewczynki na łożu śmierci. Jak był pogrzeb, to taki obrzęd jak palenie świec czy modlitwy. Nuczyłam ich "Wjczę nasz", oczywiście po rosyjsku. Była to więc działalność po trosze misyjna. Pełniłam przecież misję kanoniczną. Władze absolutnie nie mogły o tym wiedzieć. I nikt mnie nie wydał.

Gdy były nasze niedziele, to ci ludzie, którzy chcieli, przychodzili do nas do domu i myśmy w zamknięciu modliliśmy się swoim tekstem mszalnym: majowym czy październikowym, różańcowym, za zmarłych, bożonarodzeniowym, wiealkanocnym. Obchodziliśmy też Wigilię Bożego Narodzenia. Urządzaliśmy też śniadanie wielkanocne. Oczywiście w takich warunkach, jakie były.

Myśmy tam mieli lat niewiele, ale roztropności i trzeźwości nam nie było brak. I takim swoim postępowaniem potrafiliśmy zmobilizować starszych i rodziców, którzy patrząc na swoje dzieci również się uspokajali i żyli nadzieją. Ale najważniejsze było to, że przez tę modlitwę, widocznie bardzo szczerą, nikt z naszej kolonii nie umarł tam.

Tam, w Pietropawłowce w kołchozie "Budionny" nie zostawiliśmy nikogo. Wszyscyśmy do kraju wrócili. I wszystkie zaskłóci losowe kończące się śmiercią spotkały naszą grupę Sybiraków już tu, w ojczyźnie. Myśmy bardzo pragnęli do ojczyzny swojej wrócić. I ta modlitwa widocznie się Bogu podobała, jeżeli nam to darował. Darował nam chwilę powrotu do ojczyzny. Myśmy wszyscy to sobie bardzo cenili.

A ludzie tamci/miejscowi/bardzo szybko się ponauczali naszych kolęd, naszych pieśni, naszych modlitw i bardzo poprawnie zachowywali się w czasie ich odbywania. Nas absolutnie w ni-

czym nie prześladowali. Pilnowali, żeby nikt nas na modlitwie nie zastał i razem z nami się modlili. Prosili: ze mną się pomódl, naucz mnie tego czy tego. Ponauczali się polskich tekstów polskich koled. I to bardzo im sprzyjało, w im życiu ale byli tak dyskretni, jak powiedziałam, nikt mnie nie wydał.

W czym im jeszcze pomagałam? Pomagałam im w pracach domowych oczywiście wtedy, kiedy nie pracowaliśmy w kółchozie. Praca w kółchozie obowiązywała codziennie z niedzielami i świątami. Bo tam, jak już powiedziałam, obchodziliśmy tylko Nowy Rok ich radziecki, 1-go Maja i święto rewolucji październikowej. A w pozostałe dni, jeśli przypadła nawet nasze święta, to myśmy musieli iść do pracy. Ale przecież można pracując świętować. I to wcale jedno drugiemu nie przeszkadza. Ze słowem bożym trzeba było żyć i trzeba było spełniać obowiązki, podporządkować się ich władzom.

Oczywiście byliśmy kontrolowani. Był i taki czas, że musieliśmy się meldować dwa razy dziennie. Nie wolno nam było się oddalać. To był taki radziecki sposób kontroli nad wszystkimi, bo nawet ludzie miejscowi nie mieli prawa jeździć od miasta do miasta. Tej swobody poruszania się nie było. Na specjalne zaproszenia czy przepustki wolno było najwyżej ludziom miejscowym gdzieś pojechać.

Wiem, chociaż mnie osobiście to nie spotkało, ale moja mamusia tak, że wzywali do Pawłodaru i trzymali tam tydzień, namawiając do współpracy na rzecz władz komunistycznych. Moja mamusia oczywiście na to się nie zgodziła. Wróciła, a że myśmy byli, wedle jej pojęcia, jeszcze dziećmi, niepełnoletni, to nam się nie zwierzała, ale ja wiem. Słyszałam, że tam ich trzymano nawet w wodzie, w piwnicach wodą zalanych. Był to taki rodzaj

presji obliczony na to, że jak w takich warunkach dłużej postoją - parę dni i parę nocy na stojąco - to się zgodzi. W jakim zakresie dotyczyło to moją mamusię, nie mogę powiedzieć. W każdym bądź razie wróciła bardzo wycieńczona i potem bardzo długo chorowała, po tym powrocie. Oczywiście ta droga: 500 km tam i 500 nazad odbywała się pieszo, w czasie zimy. Ale musiała się stawić na wezwanie władz. Nie miała wyboru.

Wiem, że niektóre rodziny polskie zgodziły się na tę współpracę. I po powrocie z Syberii, już nawet teraz dowiedziałam się, że miały kłopoty z powrotem do kraju. Bo jeżeli raz się podpisało taki dokument współpracy na rzecz władz komunistycznych, to logiczne jest, że oni ich puścić do kraju nie chcieli. Oni nie mogli wrócić tak spokojnie jak my, bez żadnych kłopotów. Generał Sikorski zawarł porozumienie o wymianie ludności polskiej i żydowskiej między Polską a Związkiem Radzieckim i my ześmy na taką kartę repatriacyjną ześmy wrócili. Nas nie zatrzymywano. Nie mniej wiem, że ludzie, którzy podpisali te porozumienia z władzami mieli kłopoty. Ja na to odpowiadałam osobiscie, nawet teraz niedawno w "Dialogu" tak: dobrze im tak, bo zawsze trzeba mieć swoje oblicze. Jeżeli to swoje oblicze się traci, to potem ma się różne kłopoty.

Praca nasza tam charakteryzowała się tym, że pracowaliśmy w kołchozie, przy pracach polowych. Brygady polowe mieściły się 15 kilometrów od wsi. Dowożono nas tam na jakieś miejsce obracne, na jakiejś polanie, między takim zagajnikiem brzoźowym, bo takie lasy tam rosły. To trudno nazwać lasem. To były takie zadrzewione miejsca i tam wykopywano dół na kocioł do gotowania zacierki lub kaszy. Stawiano też jakąś szopę z drewna i uścielano ją słomą. I pewna ilość ludzi, potrzebna do tych prac po-

lowych - wiosennych, letnich czy jesiennych - gromadziła się tam, a reszta była dowożona ~~była~~ wozami. Tam więc gromadzili się ludzie, którzy doglądali koni, doglądali maszyn, stróżowie, kucharki. Byli tam też oracze, którzy pracowali bez przerwy na trzy zmiany. Gdy przychodziły żniwa, to obsługujący kombajn na trzy zmiany. A ludzie do koszenia trawy czy grabienia zboża czy innych lżejszych prac - byli dowożeni.

Ja osobiście byłam zatrudniana - zresztą próbowałam o to - do prac ciężkich, na kombajnach. Lubiłam pracować z mężczyznami. Nigdy mnie oni nie krzywdzili ni słowem ni czynem, a ja wykonując poprawnie wszystkie swoje obowiązki czułam się wśród nich bezpieczna. Oni mnie lubili, bo byłam w tych pracach sumienna. Obsługując nawet ciężki sprzęt w jakimś zakresie, tam gdzie byłam potrzebna, potrafiłam to robić zupełnie poprawnie. Wszyscy byli z tego zadowoleni. Ja też. Przynajmniej nie było między nami żadnych plotek. A praca była wykonana.

Brat mój pracował przy zwózce zboża z magazynów do wsi. Był ciągle przy koniach. Konie bardzo go lubiły, przychodziły do drzwi baraku i wsuwały swoje łby. Był taki koń, zwał się "Gwiazdeczka", który go bardzo lubił. Bardzo pięknie wyglądał jadąc na koniu i nie raz sobie myślałam, że może kiedyś będzie służył w służbie jazdy konnej. Ale nie. Służył w dywizji reprezentacyjnej Tadeusza Kościuszki w Warszawie. Nie mniej też bardzo go wszyscy lubili dlatego między innymi, że był bardzo posłuszny, pracowity, nie kłamał, nie kradł. Nazywali go "Witcia". Gdy Witcia powiedział, to było to pewne. Wszyscy wiedzieli, że tak musiało być.

Coś tam jedli? W brygadzie gotowano zacierkę albo kaszę. Jak się dostało po talerzu, a przyszła jesień, jak oni za te

posiłki podliczyli wartość, to równowartość pracy i posiłków prawie się równała. Bywało i tak, że myśmy na wypłatę jesien- n-, bo tam wypłatę otrzymywało się raz do roku, nie otrzymywali nic lub prawie nic: parę kilogramów zboża. Bo nawet dorośli, pra- cujący ludzie nieraz otrzymywali niewiele, do dwudziestu - trzy- dziestu kilogramów zboża. Zależało to od krodzaju. Jeśli otrzy- mał worek albo dwa na rodzinę, to już było bardzo dużo. Tam lu- dzie wegetowali.

Jedliśmy też mnóstwo lebiody, którą się zrywało, myło i go- towało z kaszą. A kasza pochodziła z kłosek zbieranych po żni- wach na polu. Była to prosiana kasza otarta w takim stempie w wydrążonym pniu drewnianym. Jak się stukano takim kijem, ta- kim tłuczkiem, to ta łuska odpadała z ziarna. Następnie to się przewiewało /żeby odłączyć łuski/ i tę kaszę z zielem jedliś- my.

Ja, poza pracą, wieczorami, przy takiej lampeczce z bawełnia- nego knota w buteleczce umieszczonego, w środku oczywiście by- ła nafta, robiłam /działałam/ sweterki. Działam to ludziom miej- scowym. Nauczyła mnie tych prac czteroletnia dziewczynka mó- wiąc: ja was nauczu. Ja do dziś to robię i bardzo lubię to ro- bić i sobie nieraz to wspominam i chwale ją sobie za to, że przez całe życie umiem się drucikami i niteczkami posługiwać.

Jak zrobiłam sweterek komuś z nitek, które gospodynie przę- ły, ~~ale~~ były tylko konopie albo wełna owacza, bo owieczki cho- wali, dla wełny i dla mięsa, nie wolno było dużo ich chować: jedn- dwie, zależy. Jak była własna matka i miała potomstwo, to wolno było to potomstwo wychować. Zeby nie było za dużo, to rodzina starsze likwidowała. Przecież musieli coś jeść, dzielić się tym takim baranem jednym, żeby nie umrzeć z głodu. A młode pokole-

nie owiec wychowywali.

Z ostrzyżonej, baraniej skóry robiono łapcie. Kawałek takiej skóry, wycięty w kształcie elipsy przedzielonej na pół, taki kawałek posiadał dziurki dookoła od brzegu i przewleczony sznurek. Na to kładło się stopę i ten sznurek zaciągano się do nogi, okręcało się dookoła uda i to już był but. Oczywiście strona mizdry była od ciała. /Mizdra - przeciwna strona skóry od owłosienia/. Natomiast strona owłosiona była od zewnątrz i zabezpieczała od mrozu. A mrozy tam były straszne - sięgały do 50-ciu stopni. Ja sama pamiętam: 44 stopnie to był zwykły, normalny mróz.

Inna sprawa, że w kontynentalnym klimacie - nie takim jak nasz - taki mróz był bardziej znośny. Bo u nas to kto wie, czy ktoś by wytrzymał.

Za wykonanie takiego sweterka otrzymywałam wiaderko ziemniaków. Ziemniaki tam były uprawiane. Sweterek ja robiłam tylko nocami, do późna, przy tej lampeczce. Trwało to tydzień a nie raz i dwa. Zależało to od zdrowia, od czasu. Przy zapłacie gospodyni, gdy dochodziło do zapłaty, wybierała wiaderko najmniejsze, aby tych ziemniaków dać jak najmniej. Jeśli to było wiaderko pięciolitrowe, to zawierało kilkanaście czy niewiele więcej ziemniaków. Myśmy się rodziną naszą, czteroosobową musieli podzielić. I dzieliliśmy to tak, że każdy miał prawo zjeść jeden ziemniak dziennie.

Obierki z ziemniaka i łupiny z prosa służyły nam do lepienia takich lepioszek. Były to takie placki, które w sumie dały się zjeść. Tylko że skutki tego bywały straszliwe, bo przy procesach fizjologicznych wydzielala się z nas krew. Po prostu one tak czysciły /szlamowały /kiszki, że można się było wykrwa-

wić i umrzeć. Dlatego też nie wolno było tego jeść codziennie. Ale myśmy to stosowali nawet na Boże narodzenie. W czasie Wigilii taki placek stanowił opłatek, którym myśmy się dzielili, bo czymś się trzeba było się podzielić.

Oczywiście Wigilia nasza to był kawał gazety jakiejś, na przykład "Komsomolskaja Prawda", bo przecież obrusów nie było. Położone to było na pniu albo na podłodze. I tak, co kto miał: pani Maria Matecka przyniosła jedną cebulę, tośmy ją pokroili na kawałeczki. I te placki też pokroiliśmy na kawałeczki. Kto co miał. Jakaś stepowa cebula gdzieś wydrapana spod śniegu. Kto co miał i co zdołał uzyskać, nawet i ukradł, bo tu nie było tego grzechu, bośmy przecież z głodu cierpieli. Mogliśmy nawet poumierać, ale żeśmy się ratowali, żeby przeżyć.

Do tego jeszcze mieliśmy prawo do kupna w kołchozie odciąganego mleka albo serwatki. I po takie mleko czy serwatkę staliśmy długie godziny. Nieraz w takich kolejkach spędzaliśmy długie dni nieraz, żeby uzyskać parę litrów. To była tylko woda bez żadnego procentu tłuszczu, bo tłuszcz był wykorzystywany do innych celów w miejscowej mleczarni. No a wodę to można było Polakom dać.

No więc oczywiście nam ją sprzedawano. Ale najgorsze to to, że tam w ogóle nie było pieniędzy. Tam nie było żadnego handlu. Tam istniał tylko handel wymienny. Słuchajcie: ja wam dam koszulę, a wy mi dajcie to i to, bo nie mam co jeść. I to było wszystko. Tam nikt z tubylców niczym nie handlował. Tylko umowna sprawa: ty możesz mi dać to bo masz, a ja ci dam to bo muszę. I taka międzyludzka, uczciwa rozmowa pozwalała na jakąś wymianę między sobą po to, żeby ratować swoje życie.

Oczywiście w Boże Narodzenie było choinka, zrobiona z brzo-

zowych gałązek. Były kolędy, był opłatek z tego placka. Tylko nie było Ojczyzny. Wśród tamtych ludzi. A ludzie przychodzili i się przyglądali, śpiewali. I rodził się Pan Jezus. I w naszych sercach też.

Najważniejsza to była nadzieja, żeby jej nie utracić. Dlatego też uważam, że to co pisał A. Mickiewicz w swoim wierszu "Stepy Akermanskie", to wszystką prawdę. On widział to, że te stepy szumią. I zdawało mu się, że Polacy słyszą jego głos, jego wołanie, jego tęsknotę. Chociaż rzeczywiście to nikt tego nie odczuwał tylko on sam bo to była nostalgia.

Nostalgia nas bardzo męczyła. Nam się też zdawało, że na wielkanoc dzwoni Dzwon Zygmunta, dzwoni długo, że wszyscy o nas myślą. A każdy myślał tylko o sobie. O swojej rodzinie. Ale właśnie ta nadzieja i ta, którą miał wtedy Mickiewicz i ta, którą mieliśmy my - ona nas trzymała. Bo gdybyśmy my tę nadzieję utracili i nie wierzyli w tę swoją wyobraźnię, która nam przed oczyma te obrazy przedstawiała, to byśmy też do kraju nie wrócili. Bo nostalgia by nas tam zagryzła. A razem to wszystko z modlitwą połączone stanowiło wielką nadzieję, wielką siłę naszego trwania, która nam pozwoliła w chwili naszego powrotu doczekać.

Tak mijały lata. Potem, w roku 1943-cim młodzież naszą zaczęto mobilizować do wojska, do Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Robiła to Wanda Wasilewska. I nasza wszystka młodzież, która miała ukończone lat osiemnaście, szła. Ja nie mogłam iść do armii polskiej, bo miałam rodzinę. Trzeba było się nią opiekować. I właśnie chwila takiego wyboru: co mam wybrać? Zostawić ich? Babunia już przecież tyle lat miała. I manusia nie nadawała się do pracy w ogóle, zwłaszcza fizycznej. Była żoną człowieka, który

nie pozwalał jej pracować. Duchowo i fizycznie nie była przygotowana do takiego życia, do pracy stepowej czy pracy fizycznej. Mama troszczyła się o nas i pracowała w inny sposób. Niemniej tam warunki były bardzo srogie i tym warunkiem nie mogła się podporządkować. Nie mogła. Ja nie mogłam pójść z nimi wszystkimi. Zostałam sama.

Wtedy dostałam po prostu nerwowej choroby. Z tego przeżycia, że patriotycznie rzecz biorąc, powinnam być z nimi w szeregach Wojska Polskiego, a nie jestem. Wybrałam jednak rodzinę, by pozostać z nią.

Właśnie kiedy pozostałam, a już wiedzieliśmy o śmierci tatusia, bo tę wiadomość przysłał nam ksiądz prałat Bogacki, pisząc list na niemieckiej gazecie, wśród którego to spisu osób straconych w Katyniu było wypisane nazwisko naszego tatusia. I niby nic, niby niewinnie zupełnie, napisane na gazecie, a u nic to się praktykowało. Gazeta - list była złożona tak po rosyjsku, w trójkąt, ze znaczkami i z adresem przyszedł. Ale kiedyśmy ten list przeczytali, między wierszami znaleźliśmy nazwisko ojca. I w taki sposób zostaliśmy o tym powiadomieni.

Brat mój był za mały, żeby iść do armii Andersa. Został też razem z nami. I był z nami aż do końca. Ale ja przedtem czy też w międzyczasie, pracując w brygadzie, poznałam takiego człowieka. Bo tam przywieźli Niemców z Saratowa i przywieźli Czeczenów z Kaukazu oraz Inguszy. A u nich, w religii dozwolone było wielożeństwo. Takiemu jednemu bardzo spodobały się moje warkocze i ja sama. Miał żonę, też blondynkę, imieniem Helena. Koniecznie chciał się ze mną zapoznać. Wołano go po rosyjsku "Iwan". A ja bałam się go strasznie, bo ludzie południa są bardzo wyso-
cy, nadzwyczaj zgrabni i nadzwyczaj srodzy. Tam, gdzie obowiązu-

je wielożeństwo - wiedziałym o tym dobrze - w takich haremach wolno im było mieć 35 żon, a teraz, w czasach Stalina, "tylko" siedem. Był tam wielki rygor. Taki ktoś miał prawo żonę zabić i nie ponosił za to żadnej odpowiedzialności, jeżeli ona była mu w czymś nieposłuszna. Więc ja przed tym człowiekiem musiałam się kryć. Kryłam się poza domem przez rok. Ukrywałam się w stercie zboża już w Nowosybirskiej obłasti. Bo w pobliżu, za słonym jeziorem za naszą wsią przebiegała granica pomiędzy Kazachską republiką a Nowosybirską. Oczywiście żadnej granicy w sensie fizycznym nie było. Ale miejscowi ludzie wiedzieli, że tamta wieś, zwana Kaczkowate należała do obłasti Nowosybirskiej.

W pobliżu stały sterty ze zbożem. W jednej z takich stert ja przez zimę się przechowywałam, żeby nie wpaść w jego łapy. Pamiętam taką scenę, kiedy on mnie pędził. Szłam wieczorem czy już nocą, bo chciałam rodzinę odwiedzić. Szłam do brygady i po drodze spotkało mnie siedem wilków, ciecška wilków. Wiedziałam, że jak wilki przejdą przez drogę albo gonia, to nie wolno biec. Ja szłam zupełnie powoli, tylko im ślepia świeciły. Dobiegłam do brygady. Tam był mój brat. Dobiegłam tam, wpadłam między te dziewczyny i zanurzyłam się w słomę. A on mnie pędził i pędził i nie dopędził i takim ogromnym batem, takim batogiem. W krzewach już przy samej brygadzie, przy samej szopie w której myśmy nocowali zakręcił batem, żeby mnie uderzyć po łydkach, po nogach tak, żebym upadła, gdy batog owinie się dookoła moich nóg. Ale ten batog owinał się o drzewo, a drugim końcem trafił w niego. On zaklął strasznie, a ja ucieszona, że mnie Pan Bóg obronił od jego łap uciekłam między dziewczyny. On w dzień nie zdradzał, że mnie ścigał, tylko ścigał mnie wtedy

w nocy, gdy wracałam. I ja od tych wilków się uchroniłam, one mnie nie trąciły. Gdy one szły to i ja szłam. Nie zaczepiły mnie i jakoś te 15-cie kilometrów przeszłam.

Uchroniłam się od tego człowieka przez rok. A potem przyszedł taki dzień, kiedy ogłoszono nam chwilę powrotu do ojczyzny. I ja z tego ukrycia wyszłam. Ale zanim ja wyszłam, była Wigilia Bożego Narodzenia. Moja mamusia miała w dowodzie napisane "Irena" a faktycznie miała na imię "Irma". Po prostu Irmina, ale ją wołali "Irena" i tak ktoś wpisał i tak zostało. A Irminy było w Wigilię Bożego Narodzenia. W tym dniu jest Adama i Ewa i Irminy. Mama w tym dniu miała imieniny i urodziny. Przyszłam w tym dniu złożyć mamie życzenia, a oni mnie szukali. Więc szukał mnie ten człowiek poprzez przedstawiciela władz kołchozu czyli przez predsiedatiela. Byli z bronią uważając mnie za dezertera, bo to była wojna.

Rzecz oficjalnie polegała na tym, że oni w tym czasie wszystkich młodych brali do kopalni węgla do Karagandy. A ja, ponieważ uciekłam od niego, to mnie nie mogli wziąć, bo mnie nie ma. Więc mnie szukali. I pamiętam, stałam między izbami, miałam długie warkocze - metr długości - a tam sieludzie czesali grzebieniem drewnianym z taką drewnianą, wyciętą rączką i zębami. Miałam długie włosy i stojąc je czesałam. Nagle wchodzi oni do izby i zwracają się do mamusi z pytaniem: gdzie wasza docz? /gdzie twoja córka?/. Mamusia odpowiedziała, że nie wie. A ja stałam. Bo ja przyszłam jej życzenia złożyć. Gdzie wasza docz? Pytali nstarczywie. Mama powtórnie odpowiedziała, że nie wie. Jak to ty nie wiesz? Ty nie wiesz, gdzie twoje dziecko? To nieprawda. Ja stałam w tych drzwiach, a oni koło mnie przeszli. Poszli do drugiej izby, patrzyli na piecu, patrzyli wszędzie.

A ja w tych drzewach stałam jak słup, bałam się ruszyć. Oparłam się o futrynę, a oni wszędzie chodzili i oni mnie nie widzieli. I wszyscy mnie znali. I wtedy to ja zrozumiałam, że mam jakieś predyspozycje opieki Bożej nad sobą. Bo jeżeli mnie wszyscy znali, mógł do mnie któryś mrugnąć chociaż nie przyznał się. Ale nie widzieć? To cud Boży. Na moją miarę, na moje rozumowanie, na moje pojęcie. Stałam tak, jak czesałam włosy, tu prztknięta / do futryny/ a oni mnie mijali, patrzyli dookoła i oni mnie nie widzieli.

Ja wtedy struchlałam. Wszyscy zaniemówili. Nikt mnie nie zdradził aż do ostatniej chwili pobytu tam. Nikt nie powiedział, że przecież ona była z nami wszystkimi. Pewnie by mnie rozstrzelali: doraźny sąd i nie ma. Zabili by na oczach matki.

Ogłoszona została chwila powrotu do ojczyzny. Oznajmiono, że będzie wymiana dokumentów, że będzie dana karta repatriacyjna, że generał Sikorski zawarł porozumienie. Oczywiście zaraz była ta katastrofa. A my te dokumenty dostaliśmy, kartę repatriacyjną też dostaliśmy i w dzień 11-go maja, w dzień swoich urodzin wyjeżdżaliśmy stamtąd. Jeszcze leżał śnieg. Na ten śnieg /Na sanie?/ nałożono słomę i gospodyni wiozła nas. A tam wożą krowami albo wołami. Konie to był skarb zamiast maszyn. Krowami orano w kokchozie też. Wszyscy ludzie szli za nami jak za pogrzebem, płakali. Daleko, bardzo daleko, wiele kilometrów nas odprowadzali. Ale do najbliższej wsi było osiemnaście kilometrów a do rejonu było 125 km, a do miasta 500km. Więc musieli wrócić.

I tak trafiliśmy do Pawłodaru, gdzieśmy przebyli na dworcu tydzień, pod gołym niebem zanim zorganizowano znowu pociąg składający się znow z sześćdziesięciu wagonów i odtransportowano

nas do kraju. Jechaliśmy w wagonach takich samych. Z tym jednak, że wówczas ja swoją działalność inaczej wyrażałam. Między wagonami ludzie porozumiewali się. W czasie tego transportu poznałam swojego męża, który już dziś nie żyje. Był on tam z trojgiem dzieci/rodzeństwa?/ a ojciec zginął, był na liście katyńskiej. Ale już dziś nie ma męża, siostry, tylko brat jeszcze żyje i siostra. Dzieci było czworo u rodziców. Matkę zabiła bomba ta sama, która mężowi urwała rękę /prawą/. Gdy wychodziłam za niego, to on był już bez ręki.

Przeżyłam z nim dwadzieścia lat. Mąż mi zmarł i zostawił trzech synów. On bez rodziców wychowywał te dzieci /swoje rodzeństwo/ w Gnieźnie w kurii biskupiej. Gnieźnieńska kuria biskupia przejęła rodzinę mojego męża do siebie, do sierocińca.

Myśmy przyjechali do siebie, do Białegostoku. Przyjechaliśmy do Księżyna, bo tu pracował nasz ojciec. W czasie wojskowych był na manewrach wojskowych, bo to był człowiek wojskowy. Ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie roku szkolnego był w rezerwie. A w szkole podstawowej był dlatego, że zachorował na zapalenie opłucnej. Po leczeniu w Zakopanem miał nakazane zamieszkanie w sosnowym lesie. A lasy księżyńskie i niewodnickie sprzyjały zdrowiu tatusia. Tatus bardzo kochał małe dzieci i w tej szkole pracował.

Szkoła ta w tym roku, jedenastego listopada będzie przyjmować imię mojego tatusia. Przyjęła go sobie za patrona. Już jest odsłonięta tablica z fundacji jego uczniów. Są składane kwiaty, obchodzony jest miesiąc pamięci, szkoła organizuje akademie patriotyczne. Jesteśmy wtedy gośćmi honorowymi tej szkoły.

Myśmy tam właśnie do Księżyna trafili po przyjeździe. Jechaliśmy od 25-go maja do 13-go czerwca. O pierwszej w nocy przy-

wieziono nas na dworzec w Białymstoku. Pozostawiono nas daleko od dworca pasażerskiego, gdzieś pod Starosielcami. Otwarto wagony i pozwolono wysiąść. Zeby było ciekawiej to powiem, że w czasie podróży od ~~przynależnym~~ ^{dwudziestego piątego} maja do trzynastego czerwca dostaliśmy po sześć kilogramów chleba. Gdy mój brat dorwał się do tego chleba to od maja do czerwca czyli przez te trzy tygodnie urosł trzydzieści centymetrów.

A ja już nie urosłam, bo byłam od niego starsza. W każdym razie jak tak myślę, że dlatego nas tak daleko postawili i w nocy, żeby ludzie się nie wystraszyli. Bo przecież myśmy wrócili w łachmanach.

Pamiątek z tamtych lat już nie mamy, zniszczyliśmy je. Niektóre jeszcze się zachowały do okazania. W rodzinnym domu / w Księżynie / sami, na własną rękę szukaliśmy śladów własnego życia. Zajmowaliśmy mieszkanie w domu przy szkole. Wówczas był to dom ładny. Teraz on zupełnie inaczej wygląda. Już ślady pracy moich rodziców przez tyle lat zatarły się. Zawsze to był dom ukwiecony i z trawnikami i z różami. Teraz nikt o to nie dba. Zmieniły się czasy. Nie te wartości ludziom dają satysfakcję. Obecnie wartość pieniądza ma największe znaczenie. Kiedyś natomiast największe znaczenie miało wychowanie, wygląd estetyczny, kultura życia. Inne wartości, inna hierarchia. Chcę powiedzieć to, że pani nauczycielka z Supraśla - nie wiem czy jeszcze żyje - pani Jadwiga Dzienis - otworzyła nam nasze mieszkanie i powiedziała: korzystałam z niego przez te wszystkie lata. Proszę wejść do swego i w nim pozostać. I już na noc poszła gdzie indziej. I odstąpiła nam nasze mieszkanie do dalszego mieszkania.

Później zabrała swoje rzeczy. Myśmy byli jej za to bardzo

wdzięczeni.

Kiedy nas zabierali, przychodzili ludzie i pytali, co to za samochód. Gdy dowiadywali się, że nas wywożą, pytali, czy jest coś jeszcze do zabrania. Gdy teraz wróciliśmy, to niektórych ruszyło sumienie i nasze rzeczy nam zwracali, najczęściej, co sama widziałam, przerzucali przez płot. I natychmiast uciekali żeby nie można było wiedzieć, kto to rzucił. Czyli nie mieli sumienia /odwagi?/ trzymać naszych rzeczy u siebie w domu żebyśmy nie zobaczyli, że nasze rzeczy u kogoś są.

Nam tam było bardzo dobrze. Grono nauczycielskie - pani Janina Kokocińska, która była z nami na Syberii z synem Januszem zmarła. Ale pozostali nauczyciele byli nam bardzo życzliwi. Potem odwiedziła nas pan Borowski, chyba Józef, który gdzieś w Horodnianskach mieszka, który był z moim tatusem w niewoli w Kozelsku. On został stamtąd zwolniony. Wypuszczono go, bo nie był oficerem. Obecnie jeszcze żyje i wspomina.

W Księżynie jest księga pamięci. W tej księdze jest dużo zeznań naszych i uczniów mojego ojca. Bardzo ciekawa to księga i można ją przeczytać i wielu ciekawych rzeczy stamtąd się dowiedzieć.

Po powrocie nie mieliśmy co jeść i trzeba było szukać pracy. Ja tę pracę znalazłam w Białymstoku. Rozpoczęłam ją 26-go czerwca 1946-go roku. Czyli w dwa tygodnie po powrocie z Syberii już pracowałam i bez dnia przerwy pracuję do tej chwili. Nie stać mnie po prostu na to, żeby pozostać bez pracy jako że muszę utrzymać dom. Wyszłam za mąż, musiałam wychować trzech synów, a mój mąż zmarł, mając tylko czterdzieści osiem lat. Synowie musieli się kształcić, pójść na swoje. I kiedy studiowali, to ja poszłam do seminarium duchownego na studia, zebrałam sześć

lat studiów teologiczno-katechetycznych i po ich ukończeniu uczę dzieci religii. Obecnie pracuję w szkole podstawowej nr 57 w Białymstoku. W nadchodzącym roku szkolnym 1991/1992 też będę pracować.

O tym można by mówić wiele, ale w jednym ciągu nie wszystko da się opowiedzieć. Bo to przecież było ponad sześć lat zsyłki.

Namawiając moją mamę do współpracy na rzecz Związku Radzieckiego, jego władz, osoba taka musiała przyjąć obywatelstwo radzieckie. Po tygodniu pobytu moja mama na to się nie zgodziła i obywatelstwa tego nie przyjęła. Jak już mówiłam, osoby które to obywatelstwo przyjęły, miały kłopoty z powrotem do kraju. Myśmy tego kłopotu nie mieli. Po tej deportacji nas przywieźli do kraju bez żadnych kłopotów dlatego, że myśmy obywatelstwa nie przyjęli /radzieckiego/. Natomiast kto przyjął, miał kłopoty, które przejawiały się w trudnościach i do dziś tam są ludzie, którzy z tego powodu pozostali. Jest to obecna polonia w Kazachstanie. Ona z powodu podjęcia obowiązków pracy na rzecz Związku Radzieckiego do kraju w roku 1945-tym wrócić już nie mogła. I tak pozostali do dziś.

W okolicach, w których myśmy przebywali, miejscową ludność stanowili Rosjanie, Ukraińcy i potomkowie zesłańców powstania z 1863-go roku. Mieli nazwiska polskie i polskie imiona, ale do tego się nie przyznawali. Jedynie w bardzo osobistych rozmowach z nami przyznawali się do tego na przykład, że potrafia mówić pacierz, którego nauczyła babcia, że to pamiętała i tego uczyła. Byli też Niemcy przywiezieni do nas z Saratowa i byli Czeczeni i Ingusze przywiezieni z Kaukazu. Była to więc kotlina ludzi deportowanych, która zbierała wszystkie te narodowości w jeden kocioł po to, żeby było łatwiej się nimi opiekować

i ich nadzorować. Ale ta opieka w niczym się nie przejawiała. My jako tacy ponieważ nie mieliśmy obywatelstwa i na nie się nie zgodziliśmy, nikt z naszej młodzieży nie uczęszczał do rosyjskiej szkoły. Nikt nie poszedł do rosyjskiej szkoły. Zresztą myśmy chcieli wrócić do ojczyzny.

Po powrocie do Polski każdy z nas uzupełniał wykształcenie i podstawowe, jeśli ktoś nie miał, i średnie i wyższe, zależnie od swoich aspiracji.

Gdy miejscowa ludność przekonała się, że my nie działamy na ich szkodę i że o nas mówi się pozytywnie, że niesiemy im pomoc i ofiarowujemy współpracę, że przewyższamy ich intelektem byli nam życzliwi. Spełniając swoje obowiązki nadzoru mieli to udogodnienie, że myśmy im się nie sprzeciwiali. Myśmy im za zło płacili dobrem. I ta nasza postawa odniosła zwycięstwo. Jak powiedziałam, wszyscyśmy wrócili do kraju. Odprowadzani jeszcze przez tamtych ludzi.

A represje zmierzające do nadania Polakom obywatelstwa radzieckiego mogły mieć lokalnie inny zakres. Na terenach bliżej miast mogły być silniejsze. Może oni nas też według jakichś kryteriów dzielili. Może z innymi ludźmi oni inaczej się obchodzili, tego nie wiem. Może tak było w większych ośrodkach, bliżej władz, o większym stopniu nadzoru milicyjnego czy NKWD czy wojskowego. A myśmy mieli stosunkowo spokojnie. Owszem, meldowaliśmy się na rozkaz, nie oddalaliśmy się bez zezwolenia. Byliśmy posłuszni i płaciliśmy tylko dobrem za złe. I oni nas nie prześladowali, nie męczyli tak, jak męczyli innych ludzi. Może dlatego, że to były same kobiety i dzieci.

Uderzenie Niemców na Związek Radziecki nie wywołało zmian wśród miejscowej ludności. Chyba dlatego, że to było za daleko

To były stepy. To była Środkowa Azja. A tam o wszelkie zmiany jest bardzo trudno. Jeśli bowiem do jednego miasta jest 500km, do drugiego 500km, do trzeciego 500km, a do stacji kolejowej 85 km? Jeśli niedawno strzelano przy wieży telewizyjnej w Wilnie, to na drugim końcu miasta nie słyszano tego. Tam gdzie myśmy byli, to było takie miejsce, z którego nie można było uciec. Myśmy wiedzieli, że jesteśmy pilnowani, nadzorowani. Z jednej strony było słone jezioro, a z drugiej strony władza. Zmiany do nas nie docierały, bo tam i prasa nie docierała. Tam nie docierała poczta, tam nie było pieniędzy.

Tam ludzie żyli na etapie prawie pierwotnym: mieszkali w ziemiankach, palili nawozem, w czugunach gotowali, drewnianą łyżkę jeśli sobie wyślubi to ją ma, dziesięć palców Pan Bóg dał, żeby się nimi posługiwać. Łaźnia kamienna, woda polana na kamienie i pełno pary. Myj się, bij się miotką, to jest twoje mycie. Były to pierwotne warunki kamienia łupanego.

Przyroda syberyjska, to surowy step. Burze śniegowa gdy się zaczyna w jakiś dzień tygodnia, to za tydzień, w ten sam dzień się kończy. Gdy śnieg zasypie wieś to jest tak, że pod śniegiem kopie się tunele od domu do domu albo od domu do obejścia. A na komin jest tylko dziura i widać tylko, jak dym się wydostaje i że tam ktoś mieszka. Zasypana jest cała wieś i od drzwi trzeba prowadzić powróż, przywiązany gdzieś do wrót czy do czegoś innego i po tym powrozie chodzić. Bo jeżeli po powrozie się nie chodzi - bo przecież tam jest ciemno, tam nie ma elektryczności ani innego światła - to się do domu nie trafi. Był taki rok, że z powodu wyjasdu po drzewo czy gdzieś z bydłem czy w jakichś innych sprawach, służbowach na przykład, bo i takie władze miały - to zamarzło 150 osób, bo nie trafiły do

swojej wsi. Bo w czasie takiej burzy śniegowej niczego nie wi-
dać. To jest taka zawieja, że nie można jej pojąć. To jest ścia-
na śniegu niosąca bardzo dalego. Gdyby tak swoje okrycie roz-
postrzec, to wiatr poniesie jak lotnię. I wtedy już koniec ze
znalezieniem. I te 150 osób odkopano na wiosnę.

A zjawisko fatamorgana polega na tym, że powietrze dzieli
się na warstwy migające, mrugające, które przedstawiają niby
zbliżony obraz jakichś drzew czy krzewów, a my dobrze wiemy,
że tego tam nie ma. Jest to obraz pozorny, zupełnie odwrócony.
On się nam ukazuje, a jego rzeczywiście nie ma.

Zjawisko fatamorgana w tamtym klimacie rzadko bywa. Ja je
widziałam w czasie bardzo gorących dni. Bo tam jest tam, że w
nocy mróz sięga czterdziestu stopni, a w dzień jest upał pięć-
dziesiąt kilka stopni. Tam nie wolno chodzić boso. Tam w nocy
wkłada się wełniany tułup czyli nie kożuch lecz ubranie do
ziemi, z kołnierzem i z owczych skór, jak ktoś w nocy pracuje,
pasterzuje albo stróżuje. A w dzień nie wolno chodzić boso tyl-
ko też w łapciach, bo na piasku to można jeść ugotować. Chociaż
gotuje się w stu stopniach, ale jajko czy chleb stary namoczony,
to może sobie wszystko sobie zrobić na piasku, bo piasek
jest aż tak gorący.

Widziałam też zjawisko zorzy polarnej. Widziałam je tylko
raz. Było to zimową porą. Wiem, że ona występuje w kwietniu. Tam
widziałam je wcześniej, ale nie wiem, który to był miesiąc. By-
ło to jakoś pod wielkanoc bo przypominam sobie, że szykowała
izbę na święta, a tam leży jeszcze w tym czasie śnieg i dlate-
go nam się wydawało, że to jest zima. Był mróz. Nieby było po-
dzielone na pasy tak, jak nasza tęcza. Pasy były ogromne, na ca-
łym horyzoncie, pasy różnokolorowe i blask dnia, chociaż jesz

noc. Wszyscy wówczas mówili, że to jest odbicie zorzy polarnej, które tam od czasu do czasu można zobaczyć. Są to zjawiska bardzo dziwne i bardzo ciekawe albo w końcu bardzo ujmujące. Wielu ludzi zamiast spać je ogląda, ponieważ nie bywają wciąż.

Przyroda jest bardzo sroga, bardzo niska, stepowa. Tam piołun jest zieleń różnorodną. Na słonych, wyschniętych jeziorach jest piołun wonny, pachnący jak woda kolońska. Za powiewem wiatru wydaje się, że wszędzie rozlano wodę kolońską, a to tak piołun pachnie. Tamtejsza przyroda ma więc swój urok, na przykład gdy się kołysze a srebrzyste trawy się kłaniają, to wygląda jest piękny. Gdyby ten urok nie niósł za sobą tragizmu, to by był sympatyczny.

Nasza filozofia postępowania odniosła całkowite zwycięstwo, bo myśmy za zło dobrem płacili. Gdybyśmy się tylko opierali, buntowali, bo mieliśmy w sobie ten bunt i tę nienawiść i do dziś dnia ją mamy, chociaż musimy przebaczyć, ale każdy swoje pamięta i tego nie zapomni. Ale to dało moc zwycięstwa, bo inaczej, to byśmy nie zwyciężyli, byśmy zgnili. Bo do nas ludzie z więzień przychodzili. Zarł ich szkorbut. Mężczyźni mieli porozpruwane spodnie - jeżeli to spodniami można nazwać - mieli nogi popuchnięte i cali byli popuchnięci, bez zębów. Przecież tam chodziło się po stepie i szukało się cebuli stepowej i czosnku.

Zjawisko głodu jest rzeczą straszną. Człowiek stara się ratować w różny sposób. Może powiem tak: naprzeciw naszego domu mieszkała Niemka, przywieziona z Saratowa. Tam urodziła dziecko. Pewnego dnia przyszła do mojej mamy z prośbą: Irma, daj mi coś, bo nie mam co dać jeść swojej małej. A nieco wcześniej ja z mamą nazbierałyśmy kłosek na polu. Były to kłoski po ściętym zbożu. One przezimowały na polu i były bardzo mokre. To myśmy

wysuszyły i zamierzałyśmy zemleć. Tam się mieliło za pomocą dwóch kamieni, odpowiednio ustawionych względem siebie. Było to coś, co przypominało nasze żarna. Mamusia wzięła miseczkę, wspaniała trochę tej kaszy tej niemieckiej /miała na imię Emma/, żeby ona mogła dać cokolwiek jeść swojemu dziecku. A ona zdejmując obrączkę ślubną, taką bardzo szeroką i mówi: weźcie to, wy to uszanujecie. Ja to muszę oddać, bo ja mam małe dziecko, które mnie z głodu umrze. Ale mamusia nie przyjęła i powiedziała: słuchaj Emma, weź to i szanuj i nigdy się z tym nie rozstawaj, bo to jest ślubna obrączka.

Wówczas ta Niemka powiedziała do mamusi: Irma, czy ty wiesz, co ja robię, jak ja swoje dziecko karmię? Łapała szczury, ucinała im ogony, zdzierała skórę i z tego szczurzego mięsa gotowała zupę i dawała swojemu, niedawno urodzonemu dziecku. Sama chodziła głodna i nie miała co dać swojemu dziecku.

A my, jak mówiłam, jedliśmy placki z łupin ziemniaczanych. Lepiliśmy placki z prosa. Ale kiedy się tego najedliśmy, to z nas szła krew. Nie wolno było zbyt często tego jeść. Piliśmy też odciągane mleko i jedliśmy zielenie, najczęściej lebiodę czy powójkę. I tak żyliśmy. Woda tylko była.

Pracując u ludzi pomagałam im we wszystkich pracach: przy urodzinach, przy pogrzebach, posprzątaj mi izbę bo jestem chore, wybierz mi mieszkanie lub zrób coś tam jeszcze. Za to otrzymywałam jeść to, co oni jedli.

Tamtejszym ludziom wolno było trzymać krowę, cielaka i owieczkę. Więc jeśli miała mleko, to dała mi jakąś miseczkę zupy czy kawałek jakiegoś chleba czy coś. To ja ten chleb przynosiłam i dzieliliśmy się tak jak cukierkami. Z rodziną. Cośkolwiek każdy wzięł do buzi, ale czy to można było nazwać posiłkiem? Na+

prawo nie. Ale żeśmy się od głodu uratowali. Miejscowi nie umierali z głodu, bo jedni drugimi pomagali. Takie wypadki mogły zdarzyć się w większych skupiskach ludzi. A w kołchozie wszyscy się znali. Jeśli komuś groziła śmierć głodowa, to szedł do brygady do pracy i wprawdzie nie zarobił nic na zimę, ale przez całe lato miał ten talerz zupy. Ale chodzili ludzie zagłodzeni. Zdarzały się młode dziewczęta, którym krew przemieniała się w wodę i umierały na tę chorobę. Powszechnie nie było wiadomo, że to jest białaczka. I tak umierało młode pokolenie. Zresztą były to czasy wojny, czasy bardzo trudne.

Władza ścigała, ale ludzie zwłaszcza cierpiący, współczuli jedni drugim i jedni drugich ratowali.

Pogrzeby w tamtych stronach wyglądają w ten sposób, że za każdą wsią jest cmentarz. Ludzie są chowani do dołów, tak jak u nas. Miejsce na cmentarz jest wyznaczone. Są wyznaczone dwa miejsca: cmentarz dla koni chorych, które zlewane naftą są zakopywane. Kiedyś z mamusią poszłam, przed Wielkanoc, żeby uciąć kawałek takiego mięsa końskiego, żeby coś zjeść, bo nie było nic do jedzenia. I taki koniuszy dojrzał nas, że my tam idziemy i ruszył do nas z takim batogiem i okrzykiem "... taka wazna mać" bił nas batogiem po nogach i nas stamtąd wygnał. Nie byliśmy za to prześladowani. Oni nas po prostu za to lubili - za naszą pomoc im niesioną. Gdybyśmy im nie służyli, to nie wiem czy byłoby tyle serca do nas, ludzi do ludzi. Po ludzku mówiąc, gdybyśmy im nie służyli. A że żadna z nas się nie wywyższała, co komu trzeba było to się grzecznie zrobiło i uśmiech robiły wiele. To do ludzi, nie do władzy. Bo ludzie i władza to co innego. Prześladowcy - władza a ludzie to zupełnie dwa inne pojęcia. Oni /miejscowi ludzie/ też byli męczeni, też podlegali karom, też byli prześladowani. Ale oni dlatego nas rozumieli, że my

niosąc im dobro i pomoc jesteśmy takimi samymi ludźmi i my ich rozumiemy. A oni rozumieją nas. I nam z tym było dobrze. Dzięki temu mogliśmy przeżyć. A gdybyśmy mieli w sobie bunt i nienawiść i byli sobie obcy, to byśmy nie przetrwali i nie wrócili.

W czasie pogrzebu *ciuto* było składane do trumny, wykonanej z czterech desek. Ale nie ma oczywiście księdza, nie ma kto odprowadzać i sami się modlą. I ja to robiłam: chodziłam tam, umia-
łam modlitwy pogrzebowe i modliłam się razem z nimi takim pa-
cierzem, jakiego nauczył nas Pan Jezus. Później ludzie odprowa-
dzali tego kogoś i kładli do ziemi.

Po powrocie z pogrzebu tam również robiono takie same sty-
py pogrzebowe jak tu. Spotykają się wszyscy i modlą się jesz-
cze raz. Jeżeli ma jakiś kapuśniak czy coś ugotowanego to za
modlitwę, na zasadzie: modlisz się za mojego zmarłego, a ja ci
daje czy to kawałek chleba czy też pół miseczki zupy. Chodziło
o to, aby uzyskać modlitwę za tego, kto odszedł.

Na mogile nie zostawiano żadnego znaku. Jeżeli był krzyżyk,
to wykonany prowizorycznie z patyczków czy coś wypisane na
piasku, który to napis wkrótce wiatr zasypywał piaskiem. Miejs-
ce pochówku, cmentarz nie był ogrodzony, każdy tam mógł wejść,
wilki też. Bo u nich oficjalnie religii nie było, religia nie
była obecna na pogrzebie to i cmentarz nie był ogrodzony. Dla-
tego obecnie komisje z takim trudem odszukują cmentarze, bo ich
nie można znaleźć.

Religijność wśród miejscowych była wielka, ale religii nie
było wcale. Do jakiego stopnia jest u nich wykształcona reli-
gijność. Zazwyczaj to, co rodzi się w niewoli, jest bardziej in-
tensywne niż urodzone w pokoju. Tak samo było u nas i tak samo

było i u nich. W okresie tej niewoli i ścigania za wiarę oni wychodzili wieczorem na dwór. I kiedyś mnie wolała taka babcia /mnie tam nazywali Niuska/: Niusia, idź. Ja stałam koło tej babci, a ona mówi: słuchaj, słuchaj jak umarli śpiewają, posłuchaj. Była księżycowa, śliczna noc a ta kobieta ma tak wykształconą wyobraźnię w sobie i religijność, że ona słyszy śpiew, którego faktycznie nie ma. Sytuacja podobna do tego, że Mickiewicz też słyszał tych obrazów. One są stworzone w duszy człowieka. Bo ci ludzie rodzą się w niewoli i w takich sytuacjach to bardzo intensywnie występuje.

Dzieci na przykład, to ja chrzcila⁴² z wody. Chrzcila: ja ciebie chrzczę imieniem takim to a takim i to było wszystko. Wolno mi było to robić na mocy przekazanej mi misji⁴³ kanonicznej. Chrzcila⁴⁴ tym, którzy tego chcieli. Ja nigdy nikomu w niczym się nie napraszałam. Jedynie spełniałam życzenia czyjeś, jeśli je ktoś miał. Nigdy nikomu nie powiedziałam: słuchaj, ja umiem to i to. Tylko jeżeli ktoś chciał, to ja spełniałam jego życzenie. Tylko na tej zasadzie.

Tam, gdzie byliśmy, nie było żadnych pozostałości materialnych świadczących o tym, że tam kiedyś funkcjonowała religia. Kolchoz był położony w stepie a pola kolchozowe zajmowały dziesiątki czy setki hektarów stepu. Natomiast w miastach takie pozostałości były z całą pewnością. Ale nam nie wolno było docierać do miast czy stacji kolejowych ani do najbliższych wsi. Musiało być wezwanie albo zezwolenie. Wezwanie takie, jakie moja mama otrzymała swego czasu na stawienie się w oznaczonym miejscu. I wtedy władze kontrolujące na drodze puszczają ją, bo ona była wzywana. Natomiast my nie mieliśmy możliwości poruszania się. I na naszych stepach, tam, gdzie ten kolchoz był nie było

żadnych pozostałości świadczących o przeszłości, żadnych wykopalisk czy to po poprzednich plemionach czy innych ludziach, którzy tam kiedyś żyli. Prawdopodobnie tam nikt nie żył, bo to średnia Azja.

Można było dostrzec różnice w stosunku do religii między pokoleniem starszych a młodszych, wychowanych już w czasie istnienia władzy radzieckiej. Stare pokolenie pamiętało jeszcze popów, cerkwie i modlitwy. Przecież na Ukrainie było bardzo wiele ośrodków modlitwy - cerkwi i kościołów. A młode pokolenie to już niczego nie pamiętało.

Tam nauka nie była obowiązkowa. Kto chciał to posyłał dzieci do szkoły, a kto nie chciał, to jego dzieci do szkoły nie chodziły. Jeśli jakiś młody człowiek nauczył się grać z pamięci na bałajajce, przędzie bo matka przędzie, pracuje w polu bo tego można się nauczyć. A pisanie i czytanie - ta sztuka nie jest konieczna. Jeśli ktoś we wsi umie, to innym tłumaczy. Ja na przykład, mieszkając tam przez sześć lat znałam tajemnice wszystkich ludzi. Bo ja im pisałam wszystkie listy na front, wszystkie listy im czytałam. Udzielałam pomocy lekarskiej też udzielałam: jak opatrzyć ranę, jak przemyć i jak owinąć, jak zabandażować. To wszystko umiałam ze szkoły, od rodziców. I inne sprawy, jak co się robi - jak się szyje, jak się wyszywa, jak ozdobić, jak pomalować, jak ozdobić obraz, jak go zawiesić, jak przystroić. To ja umiałam. I ja to wszystko robiłam. A oni oczy otwierali ze zdziwienia: skąd taka młoda dziewczyna to wszystko umie. To byli ludzie po prostu prymitywni.

Interwencja władz w życie tego społeczeństwa była widoczna. To wyrażało się przede wszystkim w nakazach. Tam NKWD bardzo często przyjeżdżało. Z tym, że takie zjawiska jak pornografia,

profanacja jakichś szczególnych miejsc, nie występowały. Nie było tego rodzaju przestępstw, bo nie było na to okazji. Tam, jeśli ktoś miał kieliszek wódki przez siebie zrobiony, to było wszystko. I do tego oczywiście się nie przyznał, że to zrobił, bo byłby ścigany. A zazwyczaj nie miał. Jeśli zrobił, to najczęściej z kartofla lub z czegoś takiego. Bo gdyby zrobił ze zboża, to rodzina byłaby głodna i dlatego nie mógł z tego zrobić. Rodzinę trzeba było wyżywić. Tak więc karalność była znikoma. Gdy NKWD przyjeżdżało, to najczęściej do miejsc położonych bliżej wojewódzkiego miasta. Ingerencja była niesamowita i to zapewne stwierdzi nasza polonia. Miejscowi byli represjonowani inaczej niż my. Zresztą my byliśmy w najdalszym miejscu. Dalszych miejsc już nie było po być nie mogło, bo myśmy mieli do wszystkich miejsc jednakowo daleko.

Gdzie tam można było uciec? Do nikąd, bo cię wszędzie złapią. Tak więc NKWD przyjeżdżało, z poleceniami, na posiedzenia zarządu kołchozu, dawało wytyczne. Gdy generał Sikorski zawierał porozumienie, to były wstępne rozeznania, dalsze analizy a potem spisy. Oni to wszystko przeprowadzali razem z naszym oddziałem, bo musieli przecież posprawdzać, czy ci wszyscy ludzie są. Zresztą dobrze wiedzieli, że są.

NKWD bezpośrednio nas nie ścigało. Nie potrafię natomiast powiedzieć, czy i w jakim stopniu zmienił się stosunek miejscowych władz - w tym NKWD - do Polaków po tym, gdy wojsko gen Andersa opuściło Związek Radziecki. Wojsko deszło, a do nas doszła tylko wiadomość o tym, że wojska już nie ma. Nie znamy dalszych następstw.

Po powrocie do kraju pracowałam w przedsiębiorstwie "Spółka". Nie byłam wzywana do urzędu bezpieczeństwa bezpośrednio. Ale

miałam przełożonego, który tam kiedyś pracował. Ale prześladowanie mnie za to, że ojciec był oficerem przedwojennym i za jego działalność w roku 1920-tym wyrażała się w tym, że nigdy nie otrzymywałam nagród. Miałam też przed sobą zamkniętą drogę do stanowisk kierowniczych. Pracowałam w administracji przedsiębiorstwa najwyżej na stanowisku zastępcy kierownika działu. Wiązało się to z poważnymi obowiązkami, jako że działy były bardzo liczne. Pamiętam taki na przykład fakt, że przez dziesięć lat nie otrzymałam ani jednej złotówki premii.

Kiedyś w rozmowie osobistej z przełożonym powiedziałam: tak, dziesięć lat mija, a ja nie otrzymałam ani złotówki premii. A premia była uznaniowa, przyznawana kwartalnie. Na to mój szef odpowiedział, że to nie jest możliwe. Odpowiedziała, że tak było. Natychmiast wezwał personalną i sam sprawdził kartotekę osobową i przekonał się osobiście, że tak jest. To dziwne, bo przecież to nie było bez jego wiedzy. Granie tej komedii było wyrazem jego wyuczonyj specjalności: zbić kogoś i domagać się odpowiedzi, że nie polać.

Tak było w stosunku do mnie. Mnie bito na codzień bo dobrze wiedziała, że taki jest stosunek władzy do mnie. Kiedyś w rozmowie osobistej z nim powiedziałam: panie prezesie, mój ojciec nosił mundur oficera polskiego. Mój syn nosił mundur oficera armii kościuszkowskiej, a syna syn będzie nosił mundur Polski Ludowej. Natomiast pana syn może nosić jakiś jeszcze inny mundur. Jaki wpływ na mundur dziecka na ustrój polityczny państwa. Jak pan uważa, czy w czasie mobilizacji w 1939-tym roku mojemu ojcu wolno było nie pójść na wezwanie? A jak pan uważa, co myśmy mogli wiedzieć o polityce państwa i o kierunkach działań mając lat jedenaście czy czternaście, tak jak ja miałam. Za co

więc my zostaliśmy wywiezieni? Za swoich rodziców? Przecież rodzice byli innym pokoleniem a myśmy byli innym. Co myśmy mogli wiedzieć o polityce państwowej?

A kiedy ten mój przełożony został zwolniony za "złotą afere", bo to był taki pan Bołtroniuk z UB-e, a następnie został zwolniony za to, że w oponach samochodu znaleziono złoto /może to nie on je tam schował, może bez jego wiedzy ktoś z rodziny?/. Kiedyś go spotkałam i on po wymianie pozdrowień zapytał, co u mnie słychać. Odpowiedziałam, że jakos żyję. I ja go zapytałam: no i co? Ludzie się zmienili, czasy się zmieniły. A on na to: ano tak, ano tak. I skończyła się rozmowa. Nie miałam nawet przyjemności z nim rozmawiać.

Jak z tego widać, byłam prześladowana na codzień. Nie byłam niczym wyróżniana. Żebym pracowała dzień i noc to on zawsze pamiętał, że w owym czasie tylko tacy ludzie kierowali przedsiębiorstwami i tylko tacy ludzie mogli zajmować i zajmowali wysokie przedsiębiorstwa. Im wówczas dobrze się działo. A pracownik? On mógł pracować za grosze.

Gdy odeszłam na wcześniejszą emeryturę, to miałam 4300 złotych poborów. Kiedy napisałam podanie o odejściu, to mi zmieniono dodając jeszcze pięć tysięcy. Nie: było inaczej. Miałam 3700zł a dano 4300zł. Dodano mi "z łaski" 600 zł. Ale czy oni odeszli z takiej emerytury? Onie nie takie emerytury mają, jaką mam ja. W tej chwili, po stu pięćdziesięciu podwyżkach to mam 851 tysięcy zł. I musiałam troje dzieci wychować. A teraz tak samo - muszę dom utrzymać - a rodzina moja teraz liczy jedenaście osób. A ja muszę o każdym pamiętać. Oni, za te 851 tysięcy to nawet nie potrafiliby żyć. A ja żyję.

Notował: S. Sianko.